

## Jan Maciejewski: Nona. U Eumajosa

Nona wybrzmiewa między trzecią a szóstą po południu, opowiada o nadciągającym zmierzchu. Wędrownica zbliża się ku końcowi. Teraz jest godzina wierności, trwania – pisze Jan Maciejewski w ósmej części cyklu „Godziny”. Autor przechodzi z Odysem przez kolejne godziny Świętego Oficjum, od jutrzni do komplety. „Osiem przygód będących modlitwą, albo raczej osiem modlitw stających się przygodami. Ten sam obowiązek i namiętność – powrócić, skąd mnie wygnano i odzyskać, co utraciłem” – wyjaśnia swój zamysł.

Większość wędrowców twierdzi, że najtrudniejszym fragmentem każdej wspinaczki jest połowa drogi. Kiedy zaczyna powoli brakować sił, a szczyt jest jeszcze tak daleko. Pot zaczyna zalewać oczy, znika entuzjizm pierwszych godzin, a krajobraz uparcie nie chce się zmieniać. Meta nie przyciąga jeszcze swoim magnetyzmem, na horyzoncie nie widać nagrody za cały ten wysiłek.

Ale może jeszcze trudniejsze od połowy jest trzy czwarte dystansu. Od myśli o tym, że nie uda się dotrzeć do celu – ta, że okaże się on rozczarowaniem. Że widok ze szczytu zasnuje mgła, efekt pracy okaże się rozczarowaniem. Albo dom, do którego wracamy będzie zimny i opuszczony. W połowie drogi jest tylko zniechęcenie, tu – kilka godzin lub lat dalej – pojawia się strach. Nabiera realności z każdym krokiem.

Tak, że może nawet zwalniamy, odkładamy na później moment konfrontacji; starcia, pojedynku jaki stoczą ze sobą oczekiwania z rzeczywistością. Nona jest pieśnią tego właśnie fragmentu naszej drogi.

Wybrzmiewa między trzecią a szóstą po południu, opowiada o nadciągającym zmierzchu. Wędrowka zbliża się ku końcowi i jasne staje się, że to, co dotychczas było tylko przygotowaniem. Że powrót nie będzie chwilą beztroskiego wpadnięcia sobie w ramiona, tylko stoczeniem krwawej bitwy. Dom co prawda nie został opuszczony, ale za to wypełniają go bezczelni zalotnicy. Wieczór będzie chwilą oczyszczenia. Obmycia hańby minionych lat we krwi.

### **Jan Maciejewski „Kompleta: Mąż i żona” – fragment książki „Już pora”**

Ale to dopiero za kilka godzin, o zmierzchu. Teraz, między trzecią a szóstą, jest godzina wierności, trwania. Nona, która w Odysei przyjęła imię i postać Eumajosa, starca pasącego świnie. Być może ostatniego, który czekał na powrót swojego króla. Telemach przecież odpłynął na jego poszukiwanie, Penelopa była za bardzo zajęta oganianiem się przed zalotnikami, matka Odysa już dawno zwątpiła i pogrążyła się w morzu i rozpaczy. Jedyнным, który trwał, cały był czekaniem, wiernością i pamięcią, pozostał ten, o którym wszyscy zapomnieli.

Nie ma, w Odysei ani całej mitologii, postaci bardziej „mniszej” niż Eumajos. „Monachos” – pojedynczy, oddzielony od świata, nie tylko miejscem, w którym mieszka (samotnym, a jednocześnie takim, z którego widać całą okolicę), ale przede wszystkim swoją nadzieją. Nie pozwala mu ona przyłączyć się do spraw tego świata, zakrzętnąć,

zapomnieć o królu, który najpewniej już nie powróci. Dni i noce wypełnia mu „tęsknota za swoim boskim panem”. Tym, „którego zwie najbliższym, choć jest daleko”.

Rozmawia z nim teraz, w blasku gasnącego słońca, na ganku swojej samotni, myśląc, że mówi z żebrakiem. Każda z postaci tej historii ma swoją Odyseję, swoje próby i przygody, nie tylko Odys. Eumajos przechodzi właśnie ostatnią z nich. Zachowuje czujność do końca, przyjmuje żebraka jak króla, otwiera przed nim drzwi, proponuje ciepłą herbatę – bo tego wszystkiego życzyłby sobie Odys. Wyznaje mu miłość, zdaje sprawę ze swojej służby. Robi to przed nim, ale nie wobec niego. Myśli, że mówi do jeszcze słabszego i starszego od siebie.

Tak to właśnie miało wyglądać. „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnie uczyniliście. Pójdźcie, błogosławieni, weźcie w posiadanie Królestwo”.

Za chwilę Odys zasiądzie na tronie swojej chwały. Już za moment oddzieli Eumajosów od zalotników jak owce od kozłów, pszenice od kąkolu. Posypią się nagrody, poleje się krew. Nie będzie już wiernego czekania ani litości dla zdrajców. Skończy się godzina próby i miłosierdzia. Nadejdzie moment zapłaty. Zalotnicy jeszcze się bawią, Penelopa wciąż płacze a Eumajos czeka. Ale już niedługo. Trwa Nona – ostatnie minuty przed bitwą. Ciszę zakłóca tylko rozmowa dwóch samotnych staruszków.

\*\*\*

Przy brzegu nikt nie czeka. Nie ma komu pomóc mu zejść na ląd. Przy zeskakiwaniu z brzegu łodzi pośliznął się i wylądował twarzą w błotnistym piasku. Podnosi się powoli, jak ktoś, kto wie, że musi oszczędzać siły. Nie ma czasu na ucałowanie rodzinnej ziemi, trzeba znaleźć jakiś patyk, podeprzeć się, złapać oddech.

Starość, ostatni z podarunków Ateny, nie jest przebraniem. Odys nie musi udawać, jest aż zanadto autentyczny: mieli w ustach mokry piasek, jak bezzębni starcy posiłek. Ukrywał się, zakradał, przeciskał tyle razy w ciągu minionych dwudziestu lat. Ale ten podstęp jest najbardziej okrutny ze wszystkich; przejście, szczelina tak wąska, że aż trudno uwierzyć, by miał się z niej kiedykolwiek wydostać. To już nie drewniany koń ani skóra owcy – tym razem ukrywa się w samym sobie. Co jeszcze jest w nim Odysem, królem Itaki? Gdzie jest to miejsce, w którym się ukrył? Głębiej niż zwiotczała skóra, wyłysiała głowa, zapadnięte policzki. Głębiej nawet niż kołaczące serce i z trudem wykonujące swą pracę płuca. Wydaje mu się, że jest dalej niż kiedykolwiek. Właśnie teraz – gdy powoli się prostuje i dłonią osłaniając oczy przed rozpoczynającym drugą część swej podróży słońcem, próbuje znaleźć wokół siebie cokolwiek znajomego. Ale wszystkie brzegi są do siebie podobne, piasek zawsze tak samo usuwa się spod stóp, tylko teraz jakby bardziej podstępnie i zawzięcie, bo jego nogi nie są już tak silne jak kiedyś.

### **Jan Maciejewski „Już pora” – zamów**

A jeśli to wszystko było tylko snem? Jeżeli nie jestem żadnym królem, tylko rozbitkiem, który walnął się w głowę i wynurzył na samotnej wyspie? Czy Odys to moje prawdziwe imię? A nawet jeśli, to czy

ktokolwiek wymówił je kiedyś ze strachem i czcią? Pamięć zaczyna zawodzić na starość, całe życie spłaszcza się i zaciera. To nie jest przebranie.

Dochodzi powoli do końca plaży – to prawdziwa ścieżka, czy tylko złudzenie? Bez różnicy, i tak nie ma sił szukać innej drogi. Trzeba iść przed siebie, byle naprzód. Po stu krokach pojawia się ogrodzenie – pierwszy szczegół, który sprawia wrażenie znajomego. Wszystkie stare płoty są do siebie podobne. Ten niewiele się zmienił od czasu, gdy przeskakiwał go jako mały chłopiec. Opiera się niepewnie, belki trzeszczą, ale nie pękają. Czule gładzi porastający je mech. Przypomina swoim palcom, że były kiedyś młode. A skoro tak – to może jeszcze będą. Odzyskuje siły, przynajmniej na tyle by iść dalej, ale teraz już wzdłuż płotu – trzyma się go jak poręczy, jak starczej laski, którą wreszcie odnalazł.

Początkowo wydawał się złudzeniem, potem – starym, niewysokim, uschłym drzewem. Tak nieruchomo stał, kołysany tylko lekkim, popołudniowym wiatrem. Ale z każdym krokiem nabiera kształtu, zyskuje twarz, ręce, nogi. Wreszcie rusza powoli w jego kierunku. Bez słowa bierze go pod ramię i milcząc prowadzi do siebie. Odys zna to miejsce, wraz z nim wraca do niego pamięć, a skoro ona – to i wiedza o tym, kim jest. Przypomina sobie, że jest królem, upewnia się w tym postanowieniu, wiedzy zapomnianej przez wszystkich innych. Z każdym krokiem odzyskuje swoje królestwo, pierwszym przyczółkiem jego ekspansji jest pustelnia, pastwisko dla świń.

Dopiero teraz patrzy na twarz swojego towarzysza. Poznaje go, jest drugi w kolejności, po miejscu. Bo gdyby spotkał Eumajosa gdziekolwiek indziej, nie zwróciłby na niego uwagi. Tak bardzo zrosł się ze swoim domem, z tym pastwiskiem i pustelnią, że wypełniły go swoją treścią, barwami, zapachem. Nie byłby sobą gdziekolwiek indziej, nie dałby się poznać jako rybak albo hodowca winorośli. Jest jednym z tych, którzy muszą umrzeć tam, gdzie się urodzili, w przeciwnym razie zdradzą. On nie mógł wyruszyć w drogę, nie wolno mu było odpłynąć razem z Odysem. I wiedział o tym doskonale, gdy dwadzieścia lat temu płakał, siedząc na wzgórzu i odprowadzając wzrokiem odpływające okręty. Chciał być przy swoim królu, ale wiedział, że mu nie wolno. Będzie potrzebny tutaj; nie wiedział jeszcze do czego, na czym może polegać jego zadanie. I to chyba jedyna wątpliwość jaka towarzyszyła mu przez te wszystkie lata. Czy czegoś nie przegapił, nie zaniedbał? Czy trwanie wystarczy?

Wątpliwość, która rozwiewała się z czasem. Im trudniej było czekać i trwać, im mniej było nadziei, tym większym poczuciem sensu wypełniało go jego zadanie. Wszyscy inni kolejno zapominali, machali ręką, próbowali się urządzić w ramach nowego porządku. On wiedział, że mu nie wolno. Wypędzał co rano świnie na pastwisko jakby dorzucał drewno do ognia, który nie może przestać się palić. Wszystkie kolejne gasły, ale to bez znaczenia. To on mieszkał na szczycie wzgórza, był latarnią; przez te wszystkie lata, im mniej pamiętano jego imię i rolę w całej tej historii, tym mocniej wypełniał Itakę swym żarem.

Stawia teraz przed Odysem posiłek, kruszy chleb dla bezzębnego wędrowca, podsuwa mu ciepłą zupę. Jedzą w milczeniu. Słońce powoli zaczyna chylić się ku zachodowi, to jeszcze nie wieczór, ale nie jest już

tak ciepło jak w południe. Stare ciało Odysa zaczyna drżeć wbrew jego woli. Eumajos okrywa go kocem. Płaszcz dla króla. Teraz można już mówić.

Wszystkie rozmowy starców są do siebie podobne. W pewnym sensie przypominają ostatni dialog dawnych kochanków. Ten, który toczą ze sobą, gdy przypadkiem spotkają się na przystanku, pod sklepem lub – najczęściej – apteką. Głupio jest przecież nic nie powiedzieć, a że ta okazja już się nie powtórzy, można mówić o tym wszystkim, na co dawniej nie było czasu. I co nie potrzebowało słów, zastępowały je długie pocałunki i głębokie spojrzenia. Próbują teraz wywołać, przypomnieć sobie dawno przebrzmiały żar, wzniecić w pamięci emocje, które kiedyś wypełniały ich ciało. Te którymi pulsowały ich członki, gdy byli młodzi. Jest w tych rozmowach coś ze wzajemnych przeprosin i wyrzutów jednocześnie. Beznadziejna próba cofnięcia czasu.

Ale w tym akurat rozmowa Odysa z Eumajosem była od nich różna, choć zaczęła się podobnie. Od jakiegoś głębokiego skrępowania króla, który jest nim teraz tylko dla siebie samego. Opowiada o podróżach i wyczynach ciała, jakie trudno jest obecnie o nie podejrzewać. Eumajos kiwa z wyrozumiałością głową, nasłuchwał się w życiu podobnych, jeszcze bardziej nawet fantastycznych zmyśleń. Nie wierzy już w żadne ludzkie słowa, zwłaszcza gdy padają z tak starych ust. Wie, że mężczyźni uwielbiają się chwalić - tym bardziej, im ludzie dookoła chcą ich słuchać. Z każdym kolejnym rokiem dodają nowe szczegóły do swych opowieści, tak, że na starość przestają mieć cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Nie gardzi Odysem, może tylko trochę nad nim lituje. Ale ma tyle taktu, albo raczej cierpliwości, że wysłuchuje jego opowieści do końca. Opowieści zmyślonej, choć nie w

tę stronę, której domyśla się pasterz świń. Historii, która zamiast dodawać, odejmuje. To już nie jest uczta u Feaków, to nie czas na wspomnienia herosa. Odys kłamie, jak okłamywał już tyłu wcześniej. Ale tym razem łatwiej będzie znaleźć dla niego usprawiedliwienie. Nie może powiedzieć kim jest, mówi o sobie, królu Itaki, jakby był jego świadkiem. Zapowiada jego przyjście, w które Eumajos nie chce uwierzyć. Ale samo wspomnienie imienia władcy ośmiela go.

### **Jan Maciejewski „Nawiedzona przy końcu świata” (opowiadanie)**

Teraz to on zaczyna mówić, wspominać dawną, ale przecież nieprzebrzmiałą miłość. Wstydzi się, dawno już nie było okazji, żeby rozmawiać o Odysie, nie było z kim. Patrzy na własne, złożone na kolanach ręce. Mówi długo i wspaniale, jak stary kochanek, który odczytuje miłosne listy sprzed dwudziestu, albo nawet więcej lat. Nie widzi tego, co dzieje się po drugiej stronie stołu. Czasu, który się cofa, starości, która spada z ciała Odysa jak przebranie, jakim w rzeczy samej była. Wyglądających się zmarszczek, prostującej postaci. Wyrazu twarzy, który jest najbardziej królewskim ze wszystkich insygniów. Wzrusza się własną opowieścią, jak kapłan zapamiętujący w modlitwie, każde kolejne słowo wzbudza nową tęsknotę. Mówi jakby nigdy więcej nie miał już na ten temat zabierać głosu, a więc od początku do końca. Ten starzec jutro odejdzie, a przed żadnym innym nie odważy się już tak zdradzić. Zapamiętuje się w swojej miłości jak w gniewie, jakby kłócił się z przybyszem, jak gdyby tamten sprzeciwiał się jego tęsknocie. Wreszcie – jak w każdym wyznaniu i modlitwie – jego język płacze się z uniesienia i zawstydzony milknie. Wyrzucił z siebie te dwadzieścia lat. Zniknęły, wyparowały z jego wnętrza. Dociera do niego, że to już koniec.

- Eumajosie... - aż wzdrygnął się na dźwięk własnego imienia, którego przecież nie zdradził przybyszowi. Ale jeszcze bardziej od słowa wstrząsnęło nim jego brzmienie. Dojrzałe, wypełnione po brzegi siłą i majestatem. Podnosi wzrok. Dogasający ogień wystrzela ku górze. Zajmuje jego dom, pastwisko, lotem błyskawicy ogarnia całą Itakę.

Król wrócił.

**Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego dla Teologii Politycznej**